



WIEIŃSKA IZA

maty STER

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NAJMŁODSZYCH
KRAKÓW * ROK SZKOLNY 1942/43 * NR 2

TATUSIOWA MOGIŁA

Dzisiaj dzień Zaduszek. Tadzio idzie z mamą na groby. Jedną rączką trzyma się mamy, w drugiej niesie paczkę świeczek. Te świeczki zapalą na mogile tatusia,

Już są na cmentarzu. Wszędzie migają światełka i kwiaty na grobach tak pachną!

O, tu tatusiowy grób.

Mama ustawia dwa krzaki chryzantem tak wysokich, jak sam Tadzio. A potem zapala świeczki.

Tatus na pewno cieszy się w niebie, że o nim pamiętają.

Tadzio stoi nad grobem w naciśniętej czapeczce i szczelnie zapiętym paltocie. Stoi zadumany. Wpatruje się w płomyki świeczek. Wpatruje się mocno, bez zmrużenia powiek...

Oczy zachodzą mu mgłą. Chybotliwe płomyki świeczek zamazują się... znikają... Na ich miejscu ukazuje się Tadziowi uśmiechnięta, kochana twarz ojca...

— Tatusiu!!

Łzy spływające z oczu zasłaniają po chwili Tadziowi wszystko.



Tadzio nic już nie widzi. Tylko w swoim małym serduszkuzuje wielki, wielki ból.

Aldona Pieterowa

Zaduszki

Na cmentarzu, na mogiłkach,
wieczorową cichą porą
płoną lampki kolorowe,
białe świece jasno gorą.

Idą ludzie między groby
przez te wąskie, kręte dróżki.
I my tutaj uklękniemy,
tak jak wszyscy. To Zaduszki.

Nad złotymi światełkami,
w złotych liści zawierusze,
pomodlimy się serdecznie
za tych wszystkich zmarłych dusze.

*Ewa Zarembina
(Czytanka)*

Przy ciepłym piecu

Niech mróz mrozi, niech wiatr wieje!
Nam się tutaj dobrze dzieje,
gdy w piecu pali się!
Gdy w piecu pali się!

A kto by się to spodziewał:
trochę węgla, trochę drzewa
i ciepło stało się!
I ciepło stało się!

Więcej nam nie trzeba wcale.
Gdy się w piecu ślicznie pali,
wszyscy grzejmy się!
Wszyscy grzejmy się!

*Ewa Zarembina
(Czytanka)*

JAK TO Z PIECEM BYŁO

— Zima za pasem, a tu piec się dymi — powiedziała mama. — Taki już popękany. Jeszcze się zawali...

— Trzeba go przestawić — odparł tatuś. — Stary jest. I dawno już nie wymiatany. Musi Jasiek iść po zduna.

Na drugi dzień zdun przyszedł. Wszystkie dzieci się zbiegły. Chcą zobaczyć, jak będzie rozbierał piec. Są bardzo ciekawe. Każde dziecko chce stać jak najbliżej pieca.

— A czegoż wy dzieci tak się pchacie? — woła zdun.

— Bo w tym piecu siedzi „bieda“ — mówi Józio. — Chcemy ją zobaczyć!

— Zawsze jęczy i zawodzi — dodaje Halinka.

— Pewnie jest głodna! — mówi mały Michaś i chowa za siebie chleb z marmeladą.

— Michaś się boi, że mu zje chleb...

— Zaraz ją tu wyciągniemy! — śmieje się zdun. — Potem zabiera się do roboty. Podkasał rękawy i włożył fartuch.

Dzieci patrzą ogromnie przejęte. Naraz hyc!... coś wyskoczyło z popielnika. Uniosła się chmura popiołu.

Dzieci się rozbiegły. Michaś zaczął kichać.

— Czy to „bieda“ wyskoczyła? — pyta się po chwili zduna.

— Nie, to Burek siedział w popiele — odpowiadają rozweselone dzieci.

Teraz zdun wymiata sadze. Wymiata okrągłą szczotką na drucie. Dwa wiaderka. I jeszcze dwa.

— Jakie te sadze czarne!

Dzieci przypominają sobie zagadkę:

Fitu, fitu, pełna skrzynia aksamitu.

— Co to?

— Dziw, że tego pieca nie rozsadziło. Taki zaleziony — mówi zdun.

Potem zdun rozbiera piec. Wyjmuje kafel za kaflem. Odsłoniła się dziura do komina. A tu „biedy“ ani śladu.

— Pewnie bieda uciekła przez komin — mówią dzieci zawiedzione.

— A no chyba! Przestraszyła się mojej miotły — potakuje zdun.

Tymczasem wylepił już piec. Podmurował. Jutro skończy. W całej izbie jest okropny nieporządek.

Dzieci stoją jeszcze.

— Gdzie ta „bieda“ się podziała?

— A może ją kominiarz wymiótł? Był wczoraj — przypomina sobie Józio.

— Na pewno, na pewno.

Na drugi dzień zdun skończył. Połamany ruszt zmienił na nowy. Zapala w piecu. Wiatr przelatuje przez ruszt do komina. Robi się przeciąg, który roznieca ogień. Teraz pali się doskonale.

Mama jest bardzo zadowolona. Będzie ciepło w zimie. Zdun zamyka drzwiczki. Aż tu naraz:

— Uch, ich, uch... — słychać w piecu.

— Jest „bieda!“ — wołają dzieci i zbiegają się z całej izby.

— A może to wiatr gwiżdże? — śmieje się zdun i zaczyna coś jeszcze lepić. Potem zamyka drzwiczki.

Już cicho.

— No, jak myślicie dzieci? Czy to była bieda?

— Pewnie, że „bieda“ — woła cała gromadka. — Przecież wiatr nie potrzebuje płakać. Nie jest głodny.



ZEGAR



Na ścianie wisi zegar. Zegar ma wahadło, troszkę podobne do dużej łyżki. Ma także dwie wagi na długich łańcuszkach. I ma dwie skazówki, dużą i małą. Ta duża biega prędko wokół zegarowej tarczy. Ta mała chodzi sobie pomalutku od cyferki do cyferki. A wahadło kołysze się na prawo i na lewo i śpiewa:

— Tik-tak, tik-tak...

Marek też ma zegarek. Zegarek Marka jest maleńki. Marek nosi go w kieszeni. Zegarek Marka nie ma ani wagi, ani wahadła. Dlatego pewnie nie umie śpiewać tik-tak, jak ten ze ściany.

Zegarek Marka ma także dwie skazówki: dużą i małą. Kiedy Marek pokręci śrubką, obie skazówki biegają prędko wokół tarczy. A ta mała biega tak prędko, jak ta duża, bo obie trzymają się razem. Dlatego na zegarku Marka można nastawić albo ósmą godzinę, albo pięć minut po dziewiątej. I nigdy nie będzie pięć minut po ósmej, bo mała skazówka pobiegnie za dużą.

— Jakby tu zrobić, żeby skazówki chodziły osobno?

Myśli Marek, myśli...

Aż wymyślił.

Wziął Marek pilniczek i piłuje małą skazówkę: zyg, zyg, zyg...

A duży zegar patrzy ze ściany i dziwi się:

— Tik-tak, tik-tak... Co ty robisz, Marku, przy swoim zegarku?

— Piłuję małą skazówkę, żeby chodziła osobno.

A tymczasem skazówka — prask! i odłamała się.

Zmartwił się Marek. Ale teraz nic już nie pomoże. Będzie miał zegarek Marka tylko jedną skazówkę.

A zegar ze ściany dziwi się:

— Tik-tak, tik-tak... Coś ty zrobił Marku, przy swoim zegarku?

— Odłamała mi się mała skazówka... Teraz mój zegarek ma tylko jedną skazówkę.

A zegar na to:

— Tik-tak, tik-tak... On i tak nie chodzi, to mu nie zaszkodzi. Całkiem mu wystarczy skazówka jedyna. Ja ci zawsze powiem, która jest godzina!

W. O.

MAMA TKA

Stuk-stuk, stuk-stuk...

Stukają podnóżki przy tkackim warsztacie. Podnoszą się i opadają nitki osnowy. Między nimi miga czólenko z wątkiem. Czólenko jest podobne do myszki, za którą wlecze się długi ogonek.

Przy warsztacie siedzi mama i śpiewa. Kasia siedzi koło mamy na niskim stołeczku i obiera ziemniaki na wieszce.

— Stuk-stuk, stuk-stuk! — wtóruje im warsztat.

A mama mówi:

— Śpiewaj ze mną Kasiu, będzie nam raźniej pracować!

Więc śpiewają razem, a warsztat stuka do taktu.

Aż tu jak coś nie zawyje pod drzwiami nieludzkim głosem! Nóż i ziemniak potoczyły się z rąk Kasi

do kubelka, a Kasia buch! za mamina spódnice.

— O jej, mammo, ja się boję!

A to coś jak nie gruchnie w drzwi raz i drugi! I wrzeszczy znowu, teraz tak cieńko, jak kot. Aż się i mama przstraszyła. Czółenko wyleciało jej z rąk na środek izby, a mama chwyciła Kasie w objęcia i trzyma mocno, mocno!

A to coś buch! znowu we drzwi, aż klamka odskoczyła. I drzwi otworzyły się z trzaskiem, a z sieni wpadła do izby kotka Mruczka. A za Mruczusią hop! przez próg Burasek i dalej ją gonić po izbie!

Mama i Kasia w śmiech.

— Takiś ty to, Burasie? Będziesz tu nas straszył? A do budy, brzydalu! Nie rusz kotki! Nie rusz!

A Mruczusia tymczasem wyskoczyła na sam szczyt warsztatu. Wygięła grzbiet w pałąk, wyprężyła ogon i parska ze złością na psa. Burek się rozgniewał, że jej nie może dosięgnąć. Zebrał cztery nogi razem i hop! na warsztat! Dobrze, że go mama jeszcze w powietrzu złapała za kark, bo by całą osnowę na nic potargał.

— Idź go tam przywiąż, Kasiu, — mówi mama z gniewem. — A dobrze, żeby się znowu nie urwał!

Wzięła Kasia Buraska za obrozę, wyciągnęła na podwórze i mocno przywiązała koło budy.

— Nie będziesz już nas straszył, brzydalu! Siedz tu w budzie i chaty pilnuj, a nie goń kotów po obejściu!

I Kasia wróciła do roboty. Wyłowiła z kubelka nóż i ziemniaka. I znów siedzi koło mamy na niskim stołeczku i obiera ziemniaki na wieczkę. A mama tka. Stuka podnóżkami i przerzuca na prawo i na lewo czółenko, podobne do myszy z długim ogonkiem.

Tylko Mruczka nie jest jeszcze zadowolona. Siedzi na szczycie warsztatu, oblizuje obolały grzbiet i pomiaukuje żałośnie.

— Nie martw się, Mruczusiu — mówi Kasia. — Mama utka dużo płótna. Będzie i na koszulę, i na pościel, i na sukienki. A jeden kawałek pofarbuję na czerwono i zrobię ci śliczną kokardkę. Dobrze?

Jadwiga Morska

Myszka i mały jeź

— Nie wychodźcie z norki, dopóki nie wrócę. Siedzcie cicho, żeby was nie posłyszala kucharka lub nie zobaczył ten duży, bury kot, co wciąż drzemie tam na murku. Przyniosę wam coś smacznego do zjedzenia. Może nawet kawałek słoninki uda mi się ściągnąć.

Tak mówiła mysia mama, podniósłszy w górę przednią łapkę.

— Pi, pi, pi... — zapiszczały radośnie małe myszki.

Mysia mama wraz ze swoją gromadką mieszkała w ciemnej drwalce, w norce pod beczką po kapuście. Norka była ciemna, przytulna i wysłana słomą i wiórkami.

Po wyjściu matki trzy myszki przy-

tuliły się do siebie i cichutko siedziały, nie śmiąc nawet głośno oddychać. Tylko najmłodsza, Szarusia, nie mogła usiedzieć na miejscu. Z nią zawsze był największy kłopot. Wszędzie wsadzała nosek. Tu coś powąchała, tam coś ugryzła, a jej małe czarne oczka latały na wszystkie strony z wielkiej ciekawości. I teraz wierciła się, kręciła, biegała... Wreszcie zobaczyła dziurkę w drewnianej ścianie komórki. Wyjrzała przez nią.

— O, jak tu pięknie pachnie! I jak jasno. Skąd to światło?

Spojrzała w górę i zobaczyła małe okienko, przez które zaglądał wielki księżyc i uśmiechał się do myszki.

Teraz myszka wsunęła przez dziurkę łebek i przednie łapki, wyciągnęła

się, jak mogła najdłużej, i hyc... jest już w komorze.

Zaczęła biegać po wszystkich kątach. Raptem coś się poruszyło. Myszka ze strachu aż się spociła i schowała się pod deskę. Nastawiła uszka i nasłuchuje.

Cicho.

— E, zdawało mi się — pomyślała myszka. I wysunęła się z kryjówki.

A twarz księżycy przez prawdziwe okienko za szybami znów uśmiecha się do myszki.

Człap, człap, człap...

Słyszysz myszka znów wyraźnie.

— Może to stara Marcinowa? Och, czemu nie słuchałam mamy?

A serduszko bije głośno: puk, puk, puk.

Siedzi myszka pod deską i drży.

Aż tu samej desce znów: człap, człap... I naprzeciw myszki sunie kolczasta kulka i człapie po ceglanej podłodze. Z kulki sterczą sztywne kolce i wysuwa się ryjek z błyszczącymi oczkami.

— Nie bój się — mówi groźne stworzenie — nie zrobię ci nic złego. Jestem język. Schwytały mnie dzieci w lecie i tu wsadziły. Ale tu jest smutno i brzydko, a tam w lesie tak pięknie. O, i księżyc świeci, ach, jakbym chciał się stąd wydostać.

— A nie boisz się iść tak daleko, aż do tej jasnej kuli, co się nazywa księżycem? Wiesz, że i ja też chciałabym go choć powąchać. Może to jest słodkie?

— Nie, to nie jest słodkie, tylko świeci tak pięknie. Chcę wydostać się stąd, pójść do lasu, do mamy, bo tu niedaleko jest mama i dwaj moi braciszki. Pomóż mi, myszko, stąd wyjść.

Myszka pokręciła łebkiem i rzekła:

— Mogłabym wyprowadzić cię przez tę samą dziurkę, przez którą tu weszłam, ale ty się w niej nie zmieścisz, bo masz takie wielkie kolce. Ale poczekaj, oblecę całą piwnicę, może natrafię na jakiś otwór.

Pobiegła myszka i szuka, szuka większej szczelinki, przez którą mogłaby wyprowadzić jeża.

— Pójdź szybko, znalazłam doskonałe przejście, od razu znajdziesz się na polu, tylko nie człapaj tak głośno, bo usłyszysz cię kot bury.

Jeżyk starał się stapać jak mógł najciszej, chociaż kota się nie bał. Wkrótce myszka się zatrzymała.

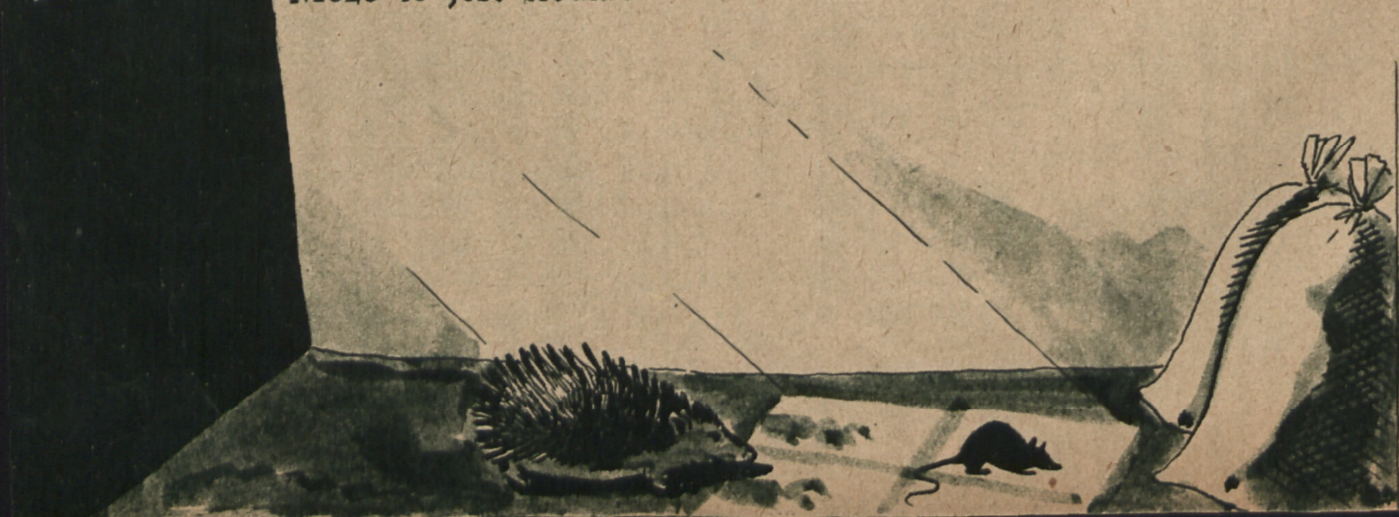
— To tu — szepnęła.

Jeżyk przesunął się przez szczelinę, a myszka wyszła za nim.

— Już zawrócę — powiedziała. — Tam w naszej norce matusia będzie o mnie niespokojna.

— To szkoda. W lesie jest teraz tak przyjemnie. Ale trudno. Wiem, że i moja mama pewnie mnie już opłakuje. Ale muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Gdybyśmy kiedyś się znów spotkali, to nie bój się mnie, postaram się nie uczynić ci nigdy nic złego, mimo że jeże tępią myszy i lubią się raczyć smaczną, delikatną mysiną... — rzekł jeżyk i poczłapał do lasu.

R. Z.



KUCHCIK

— Widziałem prawdziwego kuchcika — wołał Janek do starszego braciszka, wchodząc do mieszkania. — Podobał mi się bardzo ten kuchcik. Zaraz go narysuję, a nawet zrobię sobie z papieru taką śmieszoną, białą czapkę, w jakiej go widziałem.

I zmieniwszy zabłocone buciki na domowe pantofle, zasiadł Janek przy stoliku chłopców i wziął się do rysowania.

Najpierw narysował czapkę. Czapka wypadła doskonale. Pod czapką narysował owal twarzy, w nim trzy punkciki, a niżej długi, szeroki fartuch. Każdy poznałby od razu, że to prawdziwy kuchcik.

— No, a teraz idę do mamy. Poproszę mamę o papier na czapkę.

Mama była w kuchni. Krajała na stolnicy kluseczki. Sześcioletnia Hania wałkowała na deseczce ciasto, a mała Julia z zachwytem przyglądała się jej robocie.

— Hania jest kuchcikiem — zawołał Pawełek.

— Nie, ja jestem gospodynią — z powagą zaprotestowała Hania.

Wszyscy się zaśmiali, a mała Julia najgłośniej.

— Mamusiu, — mówił znów Pawełek — Hania nie chce być kuchcikiem, ale zato Janek koniecznie chce nim zostać. Przyszedł właśnie poprosić ciebie o to.

Janek poczerwieniał lecz zawołał:

— Mamusiu, widziałem kuchcika, prawdziwego kuchcika, wchodził do restauracji i niósł na tacy półmisek z jakąś dymiącą potrawą. Bardzo mi się podobał. Chciałem prosić cię o papier na czapkę. Zostanę prawdziwym kuchcikiem i będę ci pomagał. Pawełek myśli, że mi dokuczył, a ja naprawdę będę twoim kuchcikiem.

— To najlepiej idź od razu na naukę do kuchmistrza. Do takiego pana, ubranego na biało, z patelnią w ręku — żartował znów Pawełek.

— Nie, teraz nie mogę, bo chodzę do szkoły. A potem... — mówił powoli, namyślając się, — żebyś wiedział, że gdyby nie to, że pragnę zostać mechanikiem, tak jak tatuś, to bym poszedł na kucharza. Tak lubię patrzeć, jak mamusia wszystko ładnie, prędko i zręcznie kraje, skrobie, przyrządza, gotuje, piecze, smaży... Mamo, gdzie nauczyłaś się tego?

— Przecież mamusia nie tylko umie gotować — wtrącił znów Pawełek. — Mama umie prawie wszystko. Potrafi być kucharzem, gospodynią, krawcem, ogrodnikiem, nauczycielem, a nawet szewcem...

Mama roześmiała się i rzekła:

— Oj, Pawełku, tak mówisz, jakbyś myślał, że to wszystko łatwo robić i że tego wcale uczyć się nie trzeba. A to była jednak długa nauka. Zaczęła się, gdy byłem w wieku Hani, od pomagania mojej mamie, a wazszej babci, przy sprzątanii i gotowaniu. Potem chodziłam do szkoły, tak jak wy chodzicie. A później na rozmaitych kursach nauczyłam się jeszcze wielu ciekawych i pożytecznych rzeczy. Ale najlepsza nauka gospodarowania odbywała się w domu, bo właśnie w domu można nauczyć się wielu rzeczy.

— To ja cię bardzo proszę, naucz mnie gotować — prosił znów Janek. — Będę ci pomagał, jak kuchcik kucharzowi. I to od razu teraz. Powiedz, mamusiu, co mam robić?

— Dobrze, Janku, umyj ręce. Najpierw utrzysz mi ser na tarce.

Janek był uszczęśliwiony. Umył ręce, zawinął rękawy, włożył mamusin fartuch i zabrał się do ucierania sera. Rodzeństwo patrzyło na niego z zacięciem.

— Mamusiu, a może i ja mógłbym ci pomóc?

— Dobrze, synku, bardzo się cieszę. Weź talerze, widelce, łyżki i nakryj do stołu.

M. Grujanka

Co się w szkole kleciło

Z początku nikt nic nie wiedział.

Dzieci wieczorami biegły do szkoły, ale nikt na to nie zwracał uwagi.

Wiadomo było, że chłopcy zbierają druty, deski, papiery, korki... co się da... Że pan stelmach Gontarczyk przycinał i zbijał jakieś listwy, heblował deseczki, toczył kijki.

Pan kowal Wąsik dorabiał do czegoś zawiaski. Coś się przygotowywało. Coś się kleciło. Ale co, tego nikt nie wiedział.

A tymczasem w szkole robota aż kipi.

Hanka siedzi przy oknie i kończy ubierać „gospodynię“. Gospodyni już jest osadzona na kiju. Ma zamaszystą spódnicę w kwiatuszki, ma fartuch czerwony, ma piękny kaftan i wielki biały czepiec.

Butami też będzie dobrze w tańcu stukać, tylko że głowa jej się coś za bardzo trzęsie.

— Antek! — woła Hanka. — Żle osadziłeś głowę gospodyni, bardzo jej się trzęsie.

— Może potem poprawię — odpowiada Antek — mam teraz ważniejszą robotę. — Razem z panem nauczycielem, Józkiem i Jędrkiem wykończą sam teatrzyk.

Parawan już gotowy, już obity szarym płótnem,

i scenka już pięknie wycięta. Teraz przybijają przed nią półteczkę i zakładają kurtynę z pomarańczowej satyny, którą pan nauczyciel kupił w mieście.

— O Boże, jak też to będzie pięknie! — wzdycha Weronika wypychając koguta pakułami i zaczyna sobie przepowiadać rolę. Ale kogut nie ma ogona.

— To wronie piórko wcale się nie nadaje — gniewa się na Grześka Weronika.

— Przecież kogutowi nie wyrwę — broni się Grzesiek.

Ale nikt na nich nie zwraca uwagi, bo pan nauczyciel pyta:

— No, więc jak nazwiemy nasz teatrzyk? Są takie pomysły: „Klituś Bajduś“; „Kukuryku na patyku“; „A ku-ku“.

Zrobiły się wrzawa, gwałt. Wreszcie przegłosowano, że teatrzyk będzie się nazywał „A ku-ku“.

A na drugi dzień już nie było tajemnicy, bo przed szkołą, przed Gminą i w spółdzielni — ukazały się pięknie malowane ogłoszenia:

A ku-ku.

Przedstawienie jakich mała, Jakich jeszcze nie bywało.

Historia na czasie Świeży chlebek na kwasie...

Świeży chlebek

SKRZATY:

Łupu-cupu... łupu-cupu... cep
piosenkę nuci,
Tam gospodarz na klepisku nowe
żytko młóci!
Cały tydzień się suszyło,
Teraz młóci się, aż miło!... Hu-ha!...
(wybiegają)



KOGUT:
Kukuryku na patyku!!



na kwasie



Czy słyszycie moje kurki
w kurniku?!

Niech się nikt nie smuci,
Gospodarz w stodole młóci!
(pieje)

KACZKA:

Kwak! kwak! kwak!...
gospodarz młóci... Tak... tak... tak...

OJCIEC (wbiega):

Wszystko ziarno wymłócone!
Ale mąki odrobina,
Nie warto wozić do młyna...
(wchodzi gospodyni)

GOSPODYNI:

No, to do roboty żarna;
Trzeba pięknie zemleć ziarna!
(śpiewa na melodię: „Za górami,
za lasami“):

Dalej żarna, stare żarna,
Mąka zdrowa i pożywna, chociaż
czarna.

(woła)

Hejże Hanka! weź Marcina,
Wytocz dzieżę z za komina!!

HANKA (za sceną):

Już lecę, mamo, z Marcinem,
Po dzieżę za kominem!
(tupot)

MATKA:

Trza pięknie wyskrobać dzieżę,
Bo w nią pójdzie ciasto świeże.
(Matka wychodzi)

DZIECI (śpiewają na melodię
„Chmiela“):

Hej, ty lipowa, ty stara dzieżo,
Na chleb dostaniesz dziś mąkę świeżą.
Wyczyścim cię do kruszyny
Na te nowe, na rozczyny.
Hej, stara dzieżo!...

MARCIN (czyszcząc dzieżę):

No, już dzieża jak złoto!

HANKA:

Mamo! Mamo! Czy zostanie trochę
ciasta?

MATKA:

Utrapienie z tą Hanką, pod nogami
się szasta!...

HANKA:

Mamo, ale gdyby ciasta troszeczkę
zostało,
Mama robi kukielkę, taką malusień-
ką, małą!...
Żeby miała rączki, nóżki i oczka
z węgielka,
Żeby była malutka, tyciutka,
niewielka...



COŚ Z NICZEGO

Listopadowa szaruga nie pozwala dzieciom bawić się na dworze. Jest dopiero wczesne popołudnie, a Hanka i Włodek nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Lekcje dawno już gotowe, nowej książki do czytania nie mają, a ochoty na jakąś zabawę też brak.

Hanka płacze się koło mamy, a Włodek włości się wciąż za nią. Mamę to niecierpliwi, bo dzieci nudzą.

— Weźcie się do czegoś — mówi. I poddaje im różne projekty. Lecz Hanka i Włodek mają dzisiaj swój zły dzień. Widzi to mama i chce dzieciom pomóc.

— Ubierz się Haniu — mówi w końcu — i skocz po Julcię i Stasię. Niech tu przyjdą. Zabawicie się wspólnie i zaraz będzie wesoło.

Hance w to graj. W mig sznurkuje buciki; wkłada płaszcz i czapkę. Już jest na ulicy. Szybko idzie w stronę domu koleżanek, nie zwracając uwagi na lodowaty wicher i deszcz.

— Co też one robią? — myśli po drodze. — Na pewno także umierają z nudów, bo cóż można robić w taki okropny dzień?

Ale ledwo weszła do mieszkania Julci i Stasi, słyszy ich wesołe głosy i śmiechy. Nawet mała Urszulka i najmłodszy Janek wykrzykują radośnie, jak gdyby to nie szary listopad, ale piękny maj królował za oknem.

Hanka, przywitawszy się z matką koleżanek, wchodzi do pokoju. I cóż widzi!? Na środku stoi duży kufer z podniesionym wiekiem. Stasia i Julcia szperają w jego wnętrzu, a po obu bokach stoją Urszulka i Janek i wydają okrzyki zachwyty. W koło leży moc przeróżnych rzeczy: kolorowe szmatki, sznurki, kawałki drutu, blaszki, jakieś poszczerbione talerze, garnuszki, resztki tektury, popsute zabawki, stary podziurawiony sweter i cała góra niepotrzebnych gratów,

odłożonych kiedyś, że się to jeszcze mogą przydać.

— Co wy robicie? — wykrzykuje Hanka.

Julcia i Stasia odwróciwszy się od Hanki, uśmiechają się wesoło. Stasia mówi.

— Zrobimy coś z niczego. Mamusia pozwoliła nam przyciągnąć tutaj kufer ze starzyzną. Przeglądamy wszystko i zastanawiamy się, czy będzie można z tego coś zrobić

— Ooo, widzisz — przerywa Julcia — z tych kolorowych szmatek zrobię dywanik przed łóżko. Najpierw je wypiorę, a gdy wyschną, przepasuję i ładnie obrównam. Potem obdziergam kordonkiem i połączę wszystko razem. Na pewno mi się uda, będzie piękny dywanik!

— A ja — mówi Stasia — spruję ten pogryziony przez mole sweter i po wypraniu włóczki zrobię Jankowi szalik. Potem z tych resztek tektury będziemy robić ozdoby na choinkę. Pomalujemy tekturki farbami lub oblepimy kolorowym papierem.

— Naprawimy zabawki...

— Żeby nam tylko na wszystko czasu starczyło!

— To nie możecie dzisiaj przyjść do mnie? — wtrąca Hanka.

— Nie, dzisiaj nie możemy. Widzisz, mamy moc roboty. Ale jak tylko wszystko przygotujemy, przyjdziemy do was z szyciem i majstrowaniem. Może i ty sobie coś wyszukasz i przygotujesz jakąś robotę?

Hanka jeszcze przez chwilę zatrzymuje się u koleżanek, po czym wraca do domu. Opowiada mamie i Włodekowi wszystko, co widziała u Stasi i Julci.

Mama klaszcze w ręce i woła.

— Przecież i u nas jest walizka starych rupieci. Wyciągnijcie ją z komórki. Może i wy potraficie zrobić coś z niczego.

Dzieciom nie trzeba tego dwa razy powtarzać. Przynoszą walizę i wyjmują wszystko na podłogę. Po pewnym czasie cała zawartość walizki zostaje podzielona na trzy grupy. Pierwszą stanowią rzeczy możliwe do przeróbki, a więc sznurki jednakowej grubości, z których można zrobić torbę na zakupy, różne strzępki materiałów na dywanik lub wycieraczkę do piór, puszki po konserwach na lichtarz lub na miseczkę dla ptaków czy na popielniczkę.

W drugiej grupie znajdują się rzeczy, do których dodać należy coś nowego, aby stały się użyteczne. Są to pudełka od zapalek świetne na zrobienie pociągu, auta, czy szopki, są szpulki z nici, tektura, deseczki. Wreszcie trzecia grupa, to same rupiecie, niezdatne do przeróbki w rękach dzieci. Hanka i Włodek zaniósł je do szkoły i oddadzą na zbiórce odpadków.

— Co ty najpierw zrobisz, Władku? — pyta brata Hanka. — Bo ja tak, jak Julcia zacznę od dywanika.

— A ja — odpowiada Włodek — zrobię z tych deszczulek pudło na śmieci, albo z tektury i drutu remizę dla mojego tramwaju, albo...

Lecz w dalszym wyliczaniu przeskadza mu wybuch śmiechu. To Hanka i mama śmieją się z zapaleńca, który ma na wszystko naraz ochotę.

— Jak to będzie przyjemnie coś z tych rzeczy zrobić — mówi Hanka. — Szczególnie, gdy przyjdzie Julcia i Stasia, i będziemy pracować w gromadzie.

— Na pewno nie będziecie się przez długi czas nudzić — dodaje mama — chociażby na dworze była nawet najgorsza pogoda.

— Tak, tak — przytakują dzieci — bo też nie ma gorszej rzeczy nad nudę.

Aldona Pieterowa

POŻAR

Widać łunę tam, w oddali —
pewnie jakiś dom się pali,
słychać trzask i szum.

Tam na dole, na ulicy
biegną ludzie z okolicy,
biegnie cały tłum.

Ci z hakami, ci z wiadrami,
ci z pustyni wprost rękami,
pędzą, ile tchu!
Lecz dom płonie jak pochodnia —
nie ugaszą tego ognia
i wiadrami stu...

— Straż! Gdzie straż? —
szmer tłum przepływa.

Lecz już trąbka się odzywa,
jedzie, jedzie straż!
Zajechała już sikawka.
Dla nich pożar, to zabawka;
dzielny strażak nasz!

Bije w ogień strumień wody,
bije w okna, dach i schody,
bucha dym i kurz.

Wtem szmer zgrozy przez tłum
pobiegł:

— Człowiek!...
— Tam, na piętrze — człowiek!...
— Zginie... Zginął już!...

Nie! Podnosi się drabina,
strażak się na piętro wspina,
skacze prosto w żar.
Trwoga ludziom dech zapiera,
z lękiem śledzi bohatera
oczu tysięcy par.

— Wszedł już! Już na drabinie!
— Niesie kogoś... Zginie! zginie...
— Wali się już dach!...
— Zszedł szczęśliwie!!!

Jeszcze pryszcze
woda na wpół zgasłe zgliszcze,
lecz już minął strach.

Jadwiga Morska

KINO W SZKOLE

W piątek po lekcjach, gdy dzieci z hałasem zabierały się do domu, pani nauczycielka powiedziała:

— Uwaga, dzieci. Powiem wam wielką nowinę.

W klasie zrobiło się jak makiem zasiał.

— Pojutrze, w niedzielę, będzie w szkole kino — mówiła pani dalej. — Przyjedzie kino objazdowe i wyświetli w szkole ciekawy i pouczający film. Zapraszam wszystkie dzieci wraz z rodzicami i rodzeństwem. Pamiętajcie, że należy stawić się punktualnie o godzinie czwartej po południu.

Od razu zrobił się w klasie radosny wrzask. Tylko Józefka podeszła do pani nieśmiało i zapytała:

— A ile będzie się płacić, proszę pani, bo moja mamusia nie ma pieniędzy.

— Nic się nie będzie płacić. Przyjeżdża tu jeden pan z miasta i będzie bezpłatnie pokazywał na filmie bardzo ciekawe rzeczy.

W niedzielę od rana dzieci nie mogły się doczekać pójścia do szkoły. Co kilka minut wpadały do domu i pytały, która godzina. Jeszcze daleko było do czwartej, kiedy na dziedzińcu szkolnym zebrała się już cała dzieciarnia z rodzeństwem. Potem przyszli starsi. Punktualnie o godzinie czwartej otwarto drzwi szkoły na ścieżaj. Ukazała się pani nauczycielka i powiedziała:

— Proszę wszystkich do klasy. Tylko ostrożnie, żeby czegoś nie uszkodzić.

Ostrożnie wchodzić zaczęły dzieci do klasy, a za nimi rodzice.

Sala szkolna wyglądała dziś zupełnie inaczej. Okna dokładnie zaciemnione, lampka się świeci, chociaż na dworze biały dzień. Stoliki z sali usunięte, a ławki stoją długimi szeregami, tylko wąskie przejście je rozdziela. Na ścianie rozwieszona jest

wielkie prześcieradło. A za ławkami na stoliku stoi dziwny aparat.

Pani sama rozsadzała dzieci na ławkach. Mniejsze na przedzie, większe za nimi, a dopiero pod samą ścianą wyznaczyła miejsca dla starszych.

— Czy wszystkie dzieci są, bo kto się spóźnił, nie będzie mógł być wpuszczony. Za chwilę drzwi zamykamy i gasimy lampę — odezwała się pani z drugiego końca na wpół ciemnej sali.

Dzwonek. Lampa zgaszona. Ani odrobiny światła. Na przeciwległej ścianie zajaśniał ekran.

Na ekranie ukazała się grupa roześmianych dzieci, bawiących się w słońcu w piłkę, na pięknej łące. A pod obrazem był napis:

„Największy skarb człowieka — to zdrowie!“

A potem była brudna izba w jakiejś nędznej chacie. Brudne dziecko piło z brudnej szklanki. Potem widać było rękę dziecka, trzymającą szklankę. A wreszcie sam tylko brudny rękaw, na którym gnieździły się wstrętne robaki. To były wszy. Pani nauczycielka głośno przeczytała podpis:

„Wśród brudu i niechlujstwa lęgną się wszy!“

Znów zmienił się obraz na ekranie. W kącie chaty, na barłogu leży to samo dziecko, jest ono chore. Tyfus! Na ekranie ukazuje się napis:

„Wesz jest roznosicielką zarazków wielu chorób, a szczególnie tyfusu plamistego!“

Potem były jeszcze inne obrazy. Widać było, jak to maleńkie zarazki przechodzą z wszy do krwiobiegu człowieka. Jak się tam rozmnażają, powodują chorobę i śmierć. Potem było pokazane, co trzeba robić, jak żyć, żeby się nie zarazić tyfusem.

Był to bardzo pouczający, a równocześnie ciekawy film.

Gdy się tylko film skończył, dzieci jedno przez drugie zaczęły pytać panią o różne rzeczy. Pani nauczycielka powiedziała, żeby każde dziecko pomyślało w domu, co je zainteresowało, a następnego dnia będzie w szkole omawianie wszystkich pytań i ob-

myślanie planu, jakim sposobem szkoła mogłaby współdziałać ze wsią przy walce z tyfusem plamistym i chorobami zakaźnymi.

Tak się zaczęła w szkole od przedstawienia kinowego wspólna praca wszystkich dzieci nad podniesieniem zdrowotności wsi.

Romana Zawistowska

NASZA SZKAPA

Szkapę kochaliśmy niezmiernie. Jak tylko pamiętam, na świecie zawsze był ojciec, matka i szkapa. Szkapę należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Kogo by tam brakło w naszej gromadce, to by brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec z rzeki do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż na pół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znalezioną na podwórzu skórę z cytryny...

I szkapa nas kochała bardzo. Z daleka już rżała ku nam i przyśpieszała kroku strzygąc radośnie uszami; a kiedyśmy ją po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieszczotę i zwiesiwszy łeb swój ciężki skubała nas po włosach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem; po prostu rżała na ojca, żeby go wziął ze sobą.

Kiedy ją ojciec wyprzegał, zaczynała się dopiero heca! Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obtarty. I podczas gdy szkapa zanurzała swój łeb ogromny w głębiach uwiązanego

jej na karku worka z chudą sieczką, on, przyklękawszy na jedno kolano lub stanawszy na jednej nodze, wywijał czapkę i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z sutereny, co nigdy nie traci miny! Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu gnat! Je chudy, ale chwyt! Kto da więcej?...

Na to „kto da więcej“ wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotruś; aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w tryumfie po podwórzu, nie dawszy jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapkę i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś, herbu szczur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwóch zębów nie ma przedzie i na szkapie jedzie!... Kto da więcej?...

Skąd on tu to „kto da więcej“ przyczepił, nigdy nie odgadnąć nie mógł; Felek sam utrzymywał, że to już jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

M. K.



K. Kłosowski — Zakopane

W DRUKARNI

— Ben, zabierz! Ben, nieś! Ben, odłóż! Prędeż!

A Ben zwija się jak mucha w ukropie. Chwyta z wyciągniętej ręki zarządzającego drukarnią kartkę zapisaną, niesie do zecera, siedzącego przy maszynie drukarskiej, przenosi na boczny stół ułożone z metalowych liter wiersze i strony.

A uważa, a patrzy bystro na każdego, by w lot zrozumieć, czego chcą od niego. Wszak robota w drukarni to nie byle co. Musi być pośpiech, ale musi też być spokój i ład.

Wielka mroczna izba, lampki elektryczne świecą przy maszynach jak jasne punkty. W szufladach ogromnych stołów i niskich komodach leżą duże litery, wyrzynane na tafelkach drewna, leżą linie płaskie, drewniane i żelazne.

Ben zna je wszystkie. Będzie kiedyś zecerem. Teraz ma dopiero trzynaście lat, ale jak urośnie... Już teraz wszystko znajdzie, wyszuka, poda, aż mu się oczy śmieją do roboty.

Nagle słysząc, jak ktoś woła z góry przez tubę:

— Ben! Jest tam Ben?

To właściciel drukarni woła. I w tej chwili schodzi po schodach, a za nim

z czapkami w ręku trzech, czterech, nie — aż pięciu uczniów.

— Ben! Słuchaj zuch. Ci chłopcy, proszą, żeby im odbić kilka afiszów, bo urządzają loterię fantową. Odbijemy im za darmo. Patrz, tu kartka z napisem, rozmiary zanotowane z boku. Układaj razem z nimi, będą ci pomagali.

— Dziękujemy panu, bardzo dziękujemy — szastnęli chłopcy nogami, aż się zakurzyło, bo w drukarni zawsze jest pył na podłodze.

Ben zapalił lampkę nad niskim stołem, wyjął z szuflady linie płaskie, ramy i szybko układał.

— Robię ramę taką dużą, jak duży ma być afisz. A linie kładę, żeby był margines, proszę panów.

— My nie jesteśmy panowie — powiedział jeden z chłopców — nazywam się Jurek. A jak tobie na imię?

— Ben. Prawdziwie to Beniamin. W ręku trzymał drewniane litery.

— Mamy napisać: WIELKA LOTERIA FANTOWA — rzekł. — Kładę W, potem I. Trzeba uważać, żeby równo kłaść. Potem E.

— E? — zawołał Antek. — My

piszemy duże E w drugą stronę. To zła litera.

— Wcale nie jest zła — obruszył się Ben. — Tylko ma się odbić na papierze, więc musi być wycięta na odwrot.

Za chwilę wyraz już był skończony.

— Czemu układasz takie klocki bez liter? — pyta Jurek.

— Musi być odstęp między wyrazami. Farbą zamażą się tylko wypukłe litery. A te niższe drewna nie odbijają się wcale i w tym miejscu bęczystry papier.

— A jak się odbija na papierze?

— To maszyna odbija. Nasmaruje farbą litery, podsunie pod papier, wałek przycisnie i już gotowe. Tylko korbą kręci i na papier uważa.

— Najtrudniejsze to układanie — powiedział Antek — choć jest bardzo miłe, podobne do budowania z klocków.

— Tak, najważniejsze to ładnie, równo ułożyć napis. Lepiej sto razy poprawić, niż oddać brzydką robotę.

— To zecer musi być bardzo cierpliwy.

— Każdy zecer musi być cierpliwy, pracowity i spokojny — powiedział Ben.

W kilka dni potem Ben przyglądał się swemu afiszowi, nalepionemu na drzwiach szkoły. W rękę trzymał wygrany krążek kiełbasy. Chłopcy dali mu kilka biletów i zaprosili na loterię, a Ben wygrał kiełbasę.

Ucieszył się z niej. Ale więcej chyba cieszy się, że patrzy na afisz, pierwszy afisz własnej roboty. Czarne, równe litery... Każdą z nich miał w rękę, układał.

Teraz to chyba z pewnością zostanie zecerem.

S. Kossuthówna

RODZINA ZIĘTKÓW

Ten Franek Ziętek, co mieszkał w Grojcu, to nigdy się nie nudził. Chyba jak był zupełnie mały, jeszcze w kołysce. Bo gdy tylko trochę podrósł, latem pasął gęsi, a zimą łuskał groch i fasolę. Skończył lat siedem, no to poszedł do szkoły. Rano siedział w szkole, a po południu ganiał za krowami. Zimowymi wieczorami strugał patyczki. Z tych patyczków dziadek robił drabinki do kwiatków: do mirtów, do fuksyj...

Dziadek Franka robił nie tylko drabinki. Wycinał łyżki, paciocy¹⁾, „rogalki“²⁾, łyżniki i dużo drewnianych, pożytecznych rzeczy.

A Franek zaczął od drabinek. Dopiero później brał się do łyżek i paciocy... Pomagał dziadkowi.

Gdy Franek miał czternaście lat,

poszedł do terminu. Niedaleko, bo tylko do swojego taty.

Tato był studniarzem. Jeżeli ktoś w Grojcu, a nawet w dalszej okolicy, chciał budować nowy dom, to zaczynał od tego, że najpierw szedł do Józefa Ziętki.

Wiadomo. Do budowy studnia jest konieczna, a do robienia studni nie nadawał się nikt lepiej, niż Józef Ziętek. O, takiego drugiego majstra trudno było znaleźć.

Tato najpierw zamawiał „betony“. Te betony, to były wielkie kręgi betonowe, które się wpuszczano do studzienki. Ale jak! Ho, ho! To trzeba wiedzieć.

Więc tak: wybierano miejsce na studnię. Nad nim rozstawiano wielki „koziół“ z trzech drągów. Górą było kółko. Przez to kółko przechodziła lina. Jeden koniec liny był przyczepio-

¹⁾ paciocha — warząchew, łyżka drewniana.

²⁾ rogalek — mątewka, kołotewka, firlejek.

ny do wiadra, a drugi owijał się na walec.

Zaczynała się robota. Józef Ziętek ustawiał sobie pierwszy beton i kopał pod nim. Beton zsuwał się powoli w dół. Więc na nim kładli drugi i już obydwaj schodzili coraz niżej. Potem trzeci... ósmy... dziesiąty...

Tato kopał, wybierał ziemię do wiadra, a Franek wyciągał ją w górę. Kręcił korbą i wiadro wyjeżdżało. Ale Franek sam tego nie robił. Był jeszcze drugi pomocnik, zezowaty Jędrak. Rosła góra ziemi na powierzchni, pogłębiała się studnia, coraz niżej wkopywał się Józef Ziętek, coraz słabiej było słycać jego głos: cią-gnij!!

Wieczorem, tata wsadzał jedną nogę do wiadra, chwycił się liny, a Franek z Jędrkiem kręcili korbą. Ze studziennego otworu wynurzał się Józef Ziętek.

Wyłaził z wiadra, prostował się parę razy i głęboko wciągał powietrze. W studni było duszno.

Ale najgorsze przychodziło dopiero wtedy, gdy już pokazywała się wo-

da, a dno trzeba było jeszcze pogłębiać. Wtedy Ziętek pracował w wodzie. A potem, gdy już tej wody było za dużo, zawieszony na desce, wparł w betony.

Ciężka to była praca, wiedział o tym Franek. I o tym też wiedział, że i on kiedyś będzie studniarzem. Ale nie bał się tego, ani nie myślał o czym innym. No, cóż? Po to się żyje, żeby pracować. Studniarz jest na świecie potrzebny, a dobrego majstra wszyscy szanują. Chyba już od stu lat ludzie mówią: „trza iść do Ziętka“ — to znaczy: „potrzebna mi studnia“. Bo dziadek był studniarzem, ojciec dziadka też i teraz wnuk, Józef Ziętek. Dlaczegooby prawnuk nie poszedł w ich ślady?

Dziadek teraz odpoczywa na starość, siedzi pod piecem i łyżki struga. Zadowolony wspomina, ile studzien ludziom porobił, pamięta, jaką która miała głębokość, cieszy się, że te studnie wciąż jeszcze dają ludziom wodę.

Dziadek ma starość radosną: życia nie zmarnował. *Maria Kędziorzyna*

WSZYSCY PRACUJĄ

Gdy Marek idzie do szkoły
i kiedy ze szkoły wraca,
wzdłuż całej długiej ulicy
we wszystkich domach wre praca.

Tu murarz rozrabia wapno,
tam krawiec ubranie szyje.
Tu czyści komin kominiarz,
tam kowal młotem w stal bije.

Tu szewc w kopyto swe stuka,
tam malarz pokój maluje.

Tu szklarz do ram wstawia szyby,
tam stolarz deski piłuje.

I gdzie popatrzeć się tylko,
wzdłuż całej długiej ulicy,
przez którą idzie nasz Marek,
pracują w krąg rzemieślnicy.

Marek im mówi: „Szczęść Boże“!
i myśli o swoim tacie,
który też teraz pracuje
przy swym ślusarskim warsztacie.

W. O.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru“.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersitätsstr. 19 a. Administracja „Steru“, tel. 104-04.

Jeden nr „Steru“ kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.

Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.